

JÓZEF BARAN

KONCERT DLA NOSOROŻCA (44)

DIENNIK POETY Z PRZEŁOMU WIEKÓW
(FRAGMENTY)



15 maja

„Dobrobyt to zastrzyk znieczulający, który obywatele bogatych krajów dostają od losu już przy urodzeniu. Droga do szkoły po równym, dobry uniwersytet, kariera... obrabianie rzeczami i jednocześnie – co przepowiadał już dawno temu Witkacy – kurczenie się duszy, materializm, zanik uczuć metafizycznych...” Tak wymądrzam się przed Leszkiem, a on na to: „O, kochany, w Stanach nie jest tak gładko, jakby się wydawało...” Przynosi wycinek prasowy, z którego wynika, że ponad 20 procent Amerykanów dotkniętych jest zaburzeniami psychicznymi i kwalifikuje się do leczenia u psychoterapeuty. Najczęstszy powód: stres. Obawiają się utraty pracy, bo zaciągnęli – jak większość tutaj – kredyty na domy, mieszkania.

Jeśli na przykład jesteś zatrudniony w przemyśle – w każdą środę w południe może się pojawić szef z „różową karteczką”, która oznacza, że jesteś zwolniony i to w trybie natychmiastowym! Tu każdy każdego może zaskarżyć. Z tego powodu profesor egzaminuje studentki przy otwartych drzwiach, bojąc się, by mu nie postawiły zarzutu o molestowanie, a na tyle składaka, na którym siedzisz, znajdziesz napis ostrzegawczy, że producent nie bierze odpowiedzialności za tych, co ważą powyżej 140 kg. Ameryka to groźny kraj nie tylko dla tych, którzy wchodzą w kolizję z prawem i przepisami, ale także dla samotnych starych ludzi, gdy ich nie stać na domy spokojnej starości i dla milionów ludzi pozostających bez ubezpieczenia. Stąd tak wysoki procent ludzi z lekami i depresją. Dla porównania we Włoszech jest ich dwa razy mniej, a w biednej Nigerii, gdzie się żyje na podobieństwo ptaków niebieskich... trzy razy mniej.

„Pamiętaj, że cokolwiek powiesz o Ameryce, będzie prawdziwe i równocześnie cokolwiek uogólnisz, będzie nieprawdziwe”. Gdy Leszek usłyszał to zdanie wiele lat temu – pomyślał: ot, taki sobie paradoks... A teraz wie, że tak naprawdę jest.

17 maja

Tymczasem za szybą auta – kalejdoskop krajobrazów. Wyruszyliśmy właśnie z Moscow w 15-dniową wólcę po zachodnim wybrzeżu Ameryki. Auto załadowane bagażami. Mamy w planie

pokonać kilka tysięcy mil, zwiedzić słynne parki narodowe i przemierzyć siedem stanów. W skrzyni przytwierdzonej do dachu auta – 2 namioty i łóżka składane; to na wypadek upałów, gdyby już czynne były kempingi. Od Idaho towarzyszy nam deszcz biegnący za autem jak wierny pies, w drodze przez Waszyngton dopieszcza nas słoneczko, a gdy zbliżamy się do Montany – nieśmiało, a później coraz odważniej opuszcza się śnieg, szczególnie w coraz wyższych partiach gór. Na przestrzeni 700 km mijamy faliste rolnicze tereny wyznaczone pszenicą, soją i rzepakami, mijamy wielkie równiny, pastwiska z krowami, końmi, nawet bizonami, bo 90 procent tych zwierząt znajduje się w rękach prywatnych... Ale natykamy się też coraz częściej na bezładne, dzikie, skąpo zalesione skaliste ostepy. Można jechać 20, 30 km i nie napotkać domu. Stan Montana ma w herbie wielkie niebo (Big Sky Country) i rzeczywiście rozległość widokowa może przyprawić o błogi zawrót głowy.

Mijamy zakładnika kapitalizmu – stacza drogowego z tablicą na plecach „Stop! powoli!” (podobno zawód dobrze opłacany), mijamy kaniony, mgły uciekające nad świerkami, wzgórza, skały, góry świerkowe, sosnowe, miliony lat przemienione w glazy – kamienne pięści olbrzymów. Mijamy białe topole, jałowce, krzewy bylicy, krowy w śniegu na pastwisku, serpenty, miasteczko o nazwie Missoula, jakieś Wzgórze Bobrowego Ogona, łyse pagóry. Zatrzymujemy się w specjalnie do tego wyznaczonych wypustach szos zwanych „rest area”, żeby rozprostować kości, przekąsić kanapkę. Te wyznaczone miejsca postoju są nieodzowne dla kierowców tirów, przemierzających Stany wzdłuż i wszerz, ale nie tylko dla nich. Praktyczni Amerykanie pomyśleli nie tylko o inwalidach, którzy mają zawsze oddzielne toalety, ale nawet o stanowiskach do przewijania niemowląt...

Całe to ogromne cielsko kontynentu schwyte zostało – jak napisałem 4 lata temu w wierszu – na łańcuszek cywilizacji, oplecione siecią komfortowych międzystanowych autostrad. Jedne, oznaczone na mapie liczbami nieparzystymi biegną od Pacyfiku po Atlantyk, drugie, parzyste (na takiej teraz jesteśmy) prowadzą przez całą długość Stanów z Kanady do Meksyku... Wreszcie dojechalibyśmy do Whitehall – na wysokości 2000 m. Koszt pokoju dla trzech osób w motelu – 60 dolarów. W szufladzie stolika – jak we wszystkich motelach w USA – Biblia, przypominająca, że Stany są krajem dbającym o zachowanie pozorów. Widok z okna na śnieg i krajobraz księżycowy z temperaturą poniżej zera, brr, gdzie jesteś Kalifornio z 40-stopniowym upałem? A w nocy odżywają w snach zapomniani znajomi z Kraju, którzy nie wiadomo jakim cudem tu przyfrunęli bez wiz i paszportów. Odczuwam łamanie w kościach, obrzmiałą głowę, pobolewania tu i tam, jakby cały organizm ciężko pracował – gdy ja spałem – żeby przystosować się do wysokości. Odczuwam też rodzaj niepokoju, że przeszarżowałem z testowaniem organizmu. Znajomy odradzał mi loty samolotowe i radykalną zmianę warunków życia, jako niekorzystną dla ludzi, którzy mieli do czynienia z moją chorobą. Ja jednak wierzę, że piękno krajobrazu ma lecznicze właściwości.

19 maja – Yellowstone

W drodze do najstarszego i najsłynniejszego w USA parku narodowego – w stanie Wyoming – przeczytałem w zabranych z domu Leszka polonijnych „Nowym Dzienniku” – wiadomość o przywracaniu dziewictwa. Tak, są w Nowym Jorku lekarze wykonujący – za jedyne 2 tysiące

dolarów – taką właśnie operację plastyczną, której najchętniej poddają się dziewczyny z Ameryki Południowej.

Chodzenie do „gimu” – siłowni, co jest tu w modzie, to z kolei nic innego jak przywracanie utraconej równowagi pomiędzy duchem a ciałem. W Borzęcinie – „siłowni” znajdowały się pod gołym niebem: w polu, w lesie, w stodole...

Cztery lata temu trafiłem z moim przyjacielem Adamem Szyperem do „mola”, kompleksu handlowo-rozrywkowego w jego miasteczku w stanie New Jersey – z ulicami, kinami, schodami ruchomymi, miejscem zabaw. Człowiek może się tam wybrać, żeby zobaczyć „na żywo” innego człowieka, którego nie spotka na ulicy w typowych miasteczkach amerykańskich, gdzie psa z kulawą nogą nie uświadczysz, bo pies też jeździ autem wraz z panem. Supermarkety-mole to więc rodzaj „sztucznych staroświeckich miasteczek” dla pieszych. Przywracanie utraconej przez cywilizację techniczną więzi między człowiekiem a człowiekiem.

Co ma z tym wspólnego Yellowstone? Yellowstone kojarzy mi się – mówiąc żartobliwie – też z próbą odtworzenia biblijnego raju i przywrócenia utraconego dziewictwa natury. Spotkać mogą się tam oko w oko: człowiek, bizon, wilk, świstak, sarna, orzeł, jastrząb, wiewiórka, łos i setki rodzajów „białych kruków” natury zdeflorowanej przez cywilizację, włącznie z czarnym krukami. Jeździłszy więc przez trzy dni po tym sztucznym raju usytuowanym w prostokącie 96 na 80 km, wdychając woń siarkowych gejzerów i zachwycając się, czym tylko się dało. A to znumifikowaną sekwoją sprzed 50 milionów lat, zaspaną przy wybuchu lawy wulkanicznej; a to „czapka wolności”, czyli trzymetrowym grzybem – gejzerem skryzystalizowanym przez miliony lat z roztworów i soli tryskających spod ziemi, a to znów widokiem bizona boczącego się na nas parę kroków od auta. Dopiero w motelu przeczytaliśmy, że takie wystawianie się na strzał jego rogów nie było najbezpieczniejsze, bo owo bydlę z brodą – dziś rzadkie i pod ochroną – waży przeciętnie 1000 kg i galopuje szybciej od konia, więc może strątać człowieka i poturbować auto... Miałoby zresztą do tego prawo z zemsty za holocaust, dokonany na jego przodkach przez białego człowieka, który potrafił wymordować 99 procent ze stu milionów bizonów, będących kiedyś dla Indian źródłem utrzymania. Sam słynny Buffalo Bili zabił w przeciągu 18 miesięcy 4 200 bizonów. W roku 1900 pozostało ich przy życiu tysiąc. Dziś jest sto tysięcy bizonów w USA i Kanadzie. Yellowstone jako sztuczny raj wskrzeszający wymierające gatunki przyczynił się do ich pomnożenia; żyje ich tu ponad tysiąc. Drzewa z parku Yellowstone umierają, rozkładają się w tym samym miejscu, w którym upadły, tworzą naturalny nawóz i nikt nie ma prawa ich usuwać. Gejzerów tu pod dostatkiem, połowa wszystkich czynnych na Ziemi. Syczą, wystrzelają w górę pod wysokim ciśnieniem, mieniają się w stawkach kolorami tęczy. W błotnych kotłach bulgocze maź, z ziemi tryskają gorące źródła, tysiące fu–maroli wyrzuca obłoki pary... Lasy prawie w jednej trzeciej zostały wypalone przez pożar w 1998. Przy jego gaszeniu brało udział dziesięć tysięcy strażaków, wojsko, piechota morska, sam Reagan... i tak nie udało się go ugasić. Dokonały tego ulew, które przyszkły w sukurs ludziami. Dziś u stóp osmalonych szkieleców pni i suchych gałązek – świerkowe i sosnowe drzewka. Widmowy las powoli się odradza, ale dalej wygląda na tle skał, jakby był rodem z baśni braci Grimmów.

cdn.